

RICHARD
SCHWARTZ

WŁADCA
MARIONETEK

TAJEMNICA ASKIRU - TOM 4



© 2007 Piper Verlag GmbH, München/Berlin

Tytuł oryginału: Das Auge der Wüste, Das Geheimnis von Askir 3

Copyright © for the Polish edition by WYDAWNICTWO INITIUM

Tłumaczenie z języka niemieckiego: AGNIESZKA HOFMANN

Redakcja i korekta: PIOTR CHOJNACKI

Korekta: KATARZYNA KUSOJĆ

DTP oraz projekt okładki: PATRYK LUBAS

Tło na froncie okładki: STEFAN HILDEN, HILDENDESIGN

Współpraca organizacyjna: ANITA BRYLEWSKA, BARBARA JARZĄB

Fotografie użyte na okładce:

SHUTTERSTOCK #784991593 | AUTOR: VITALII GAIDUKOV

SHUTTERSTOCK #112727707 | AUTOR: DMITRIJS BINDEMANIS

SHUTTERSTOCK #545859691 | AUTOR: NEIL LOCKHART

SHUTTERSTOCK #598429814 | AUTOR: MELKOR3D

SHUTTERSTOCK #209966512 | AUTOR: MELKOR3D

WYDANIE I

ISBN 978-83-66328-22-8



Wydawnictwo INITIUM

www.initium.pl

e-mail: initium@initium.pl

facebook.com/wydawnictwo.initium

Druk i oprawa: DRUKARNIA WYDAWNICZA im. W. L. ANCZYCA S.A.

RICHARD
SCHWARTZ

WŁADCA
MARIONETEK

TAJEMNICA ASKIRU – TOM 4

Tłumaczenie z języka niemieckiego

Agnieszka Hofmann



initium
wydawnictwo

KRAKÓW 2020

Dla Barbary



CO SIĘ WYDARZYŁO DO TEJ PORY

Havald i jego towarzysze wyruszają do legendarnego cesarskiego miasta Askiru po pomoc w walce przeciwko tyranii Thalaku, imperium, które grozi podbiciem ich ziem. W drodze do Askiru trafiają do pustynnego królestwa Besarajnu i zostają wplątani w mroczne intrygi snute wokół następstwa tronu. Coraz więcej znaków wskazuje, że imperium Thalaku pociąga za sznurki również i w tych stronach i że walka o władzę, która rozgrywa się w Gasalabadzie, jest również walką Havalda.

Kiedy nekromanci Thalaku chcą zawładnąć tronem Gasalabadu, drużynie Havalda w ostatniej chwili udaje się zażegnać niebezpieczeństwo: Havald, Leandra, Zokora i ich sojusznicy demaskują znajdującą się pod wpływem magii księżniczkę Marinae i pomagają jej siostrze Faihlyd objąć tron Lwa. Na skutek tego jeszcze głębiej wikłają się w intrygi i sami stają się celem zabójczych nekromantów oraz nocnych jastrzębi służących Mrocznemu Bogu. Misja, która miała ich zaprowadzić do Askiru, może zakończyć się śmiercią już w Gasalabadzie...





1 PRZYJACIELE

– Dzień dobry, esseri! – rozległ się radosny głos. – Czyż bogowie cudownie tego nie urządzili? Ledwie człowiek prześpi noc, a już to, co było, odchodzi w dal, bledną wczorajsze smutki i troski. Łagodne światło słońca dodaje animuszu i nowych sił. Co było, minęło, nastaje nowy dzień!

Armin.

Miałem ochotę go ukatrupić. Korciło mnie, żeby naciągnąć kołdrę na głowę i przekręcić się na drugi bok, ale doskonale znałem tego natręta; to go nie powstrzyma.

– Dlaczego nie jesteś w pałacu u narzeczonej? – zapytałem, gdy mój były sługa załomotał drewnianymi okiennicami, odsłaniając okna na wewnętrzne podwórze domu i wpuszczając do pokoju jaskrawe światło.

– Bo wy, esseri, potrzebujecie mnie bardziej niż moja ukochana. Zaszliście daleko, ale bez mojej pomocy jesteście w tym mieście bezradni niczym dziecko zgubione w lesie.

Usiadłem na łóżku i otworzyłem jedno oko, by z wyrzutem popatrzeć na Armina. Tym razem znów był ubrany jak mój sługa: niebieskie portki z jedwabiu, wysokie buty o oso-

bliwie zakrzywionych noskach, biała koszula i błękitna kamizelka zdobiona złotym brokatem. Zbyt krzykliwie jak na mój gust. Jak dotąd Armin nie przejmował się moją opinią o swoim papuzim wyglądzie. Uważał, że się nie znam na tych sprawach. Całość uzupełniała wierzchnia, luźno opadająca biała szata; burnus z lekkim kapturem, który w tej chwili był odrobinę zsunięty do tyłu i służył jedynie ochronie przed słońcem. Podobnie jak okiennice – o ile właśnie ich nie otwierano.

– A więc taką masz opinię o swym panu, tak? – rzuciłem. Ziewnąłem i spojrzałem z żalem na lewą stronę łóżka, gdzie pogniecione prześcieradło wciąż pachniało Leandrą. Przypomniałem sobie mgliście, jak wstała i na próżno usiłowała nakłonić do tego i mnie. Nie wiem, kiedy ostatnio mogłem się wyspać, i gdyby nie Armin, na pewno wytrzymałbym w łóżku trochę dłużej.

Dom dostaliśmy w darze od starego emira Erkula Sprawiedliwego, ojca Faihlyd, która kilka dni temu została ukoronowana na emirę. Było to akurat w jej szesnaste urodziny, a ponieważ lud ją uwielbiał, urządzono na jej cześć wielkie święto; przez ten jeden dzień można było odnieść wrażenie, że Złote Miasto ma tylko takie oblicze: radosne, beztroskie i pogodne. I choć uroczystości koronacyjne miały przepyszną oprawę, to akurat w tym radosnym dla Faihlyd momencie wyszła na jaw mroczna intryga. Starsza siostra księżniczki, Marinae, która dostała się pod wpływ nekromanty – czy też Łowcy Duszy, jak tu, w Besarajnie, nazywano odrażających pacholców Bezimiennego – zażądała tronu dla siebie.



Ktokolwiek podporządkował sobie Marinae, był tak potężny, że przeciwstawił się emirowi i jego życzeniu, by osadzić na tronie Faihlyd, tak potężny, że zdołał objąć magią prawie całą salę tronową. W końcu interweniowali sami bogowie, którzy jednoznacznie wskazali, kto ma ich poparcie, i sprawili, że wiekowy duch odrodził się w niezwykle sposób.

To był chyba największy cud, jaki kiedykolwiek widziałem. Helis, siostra Armina, dostała się w szpony nekromanty, który zagrabił jej duszę, a wraz z nią dar rozmawiania ze zwierzętami. Po Helis pozostała dziewczyna o najprostszym umyśle i miłym usposobieniu. A ponieważ odebrano jej także nowo narodzone dziecko, została mamką Faraisy i jako taka znajdowała się w sali tronowej.

Tam właśnie dotknęła Lodowego Pogromcy, magicznej broni, Ostrza Spójni, które zostało wykute dawno temu przez potężnego maga i władcę legendarnego królestwa. I właśnie w tym mieczu w jakiś niewytłumaczalny sposób przetrwał duch Serafine, zarządczyni arsenału Pierwszego Rogu, legionu, od którego wszystko się zaczęło.

Gdy Helis dotknęła miecza, duch wojowniczkki znalazł nowy dom w pozbawionym duszy ciele kobiety, Serafine zaś uświadomiła sobie, jak potraktować Łowcę Dusz. Jej interwencja uratowała emirat, a zapewne i nas, chociaż w rezultacie Faihlyd musiała ściąć głowę własnej siostrze. Emira w mgnieniu oka utraciła ojca, którego chore serce nie wytrzymało tego wszystkiego, oraz ukochaną Marinae. A miała to być najważniejsza i najpiękniejsza chwila w jej życiu.



Armin – sługa, wygadany wesołek i przywódca trupy cyrkowców, książę zakazanego Domu Orła – był jednocześnie potajemnie narzeczonym, prawdopodobnie nawet małżonkiem emiry. Ich drogi skrzyżowały się, kiedy poszukiwał swej uprowadzonej siostry Helis. I tak oto Armin, kuglarz, i Faihlyd, córka emira, stali się sojusznikami, a teraz także i kochankami. Tuż przed koronacją wzięli w tajemnicy ślub na pokładzie „Lancy Chwały”. Ostatnio widziałem emirę Faihlyd trzy dni temu, na uroczystości koronacyjnej, przerywanej z powodu tego, co zaszło, i kontynuowanej nazajutrz. Wyczuwało się jej smutek, również i Armin był przygnębiony tym, że nie udało mu się podnieść ukochanej na duchu.

Miło było widzieć go w tak dobrym nastroju, ale to, że obnosił się ze swym humorem akurat tego ranka, nie było mi w smak.

Dom dawniej służył za mennicę Starego Królestwa. Mury z precyzyjnie ułożonych kamieni nie potrzebowały zaprawy murarskiej i sprawiały wrażenie zbudowanych na wieczność. Jak często w przypadku imperialnych budowli, dom został wzniesiony na planie ośmiokąta z wewnętrznym dziedzińcem. Okna w zewnętrznych murach były małe i przystosowane do obrony, ciężkie okiennice, zamykane solidnymi ryglami, utrudniały dostęp. Ściany, ozdobione typowymi dla Złotego Miasta glazurowanymi ceglami, nie tylko ładnie wyglądały, ale nie dawały też żadnego oparcia nieproszonym gościom.

Z kolei wewnętrzny dziedziniec był przestronny i chłodny, pośrodku szemrała w słońcu fontanna otoczona ogrodem, a róże nasączały powietrze swą słodką wonią.



Okna mojej komnaty wychodziły właśnie na ów prześwietlony słońcem podwórzec. Jeszcze kilka dni temu wszystko, łącznie z fontanną, było tu wyschnięte na wiór. Jedno słowo emira sprawiło, że zaszła cudowna zmiana: dom w kilka dni w zdumiewający sposób przekształcił się z ruiny w wielkopańską siedzibę.

Budynek stał przy placu Zboża, nieopodal portu. Gasalabad nigdy nie spał, a tuż za murami domu przeladowywano ziarno, utrzymujące Złote Miasto przy życiu. Lecz turkot przetaczanych ciężkich wozów, nawoływania kupców czy wyszukane utyskiwania na ceny docierały do mych uszu tylko jako odległy, stłumiony szum.

Do komnaty wpadało słońce, ukazując przepych polewowanej drewnianej podłogi, kosztownych mebli z drzewa różanego, niewielkiego sekretarzyka oraz bogato zdobionej szafy z drogocennymi szatami, uszytymi w większości z jedwabiu, na który w mojej ojczyźnie mogli pozwolić sobie tylko królowie i bogaci kupcy.

Ziewając, wstałem z łóżka, owinałem wokół bioder lekką koldrę i wyszedłem na obiegający mury balkon, na którym stał również Armin. Milczał i wpatrywał się w dziedziniec.

Przysunąłem się bliżej i podążyłem za jego spojrzeniem. W dole na ławce siedziały Leandra, wybranka mego serca, oraz Faihlyd, emira Gasalabadu. Rozmawiały po cichu, Faihlyd żywo gestykulując, błyskając oczami i uśmiechając się przelotnie, Leandra spokojniej, ale nie mniej nagłaco. Tutaj, w ustroniu dziedzińca, Leandra zrezy-



gnowała z peruki, którą musiała nosić na mieście. Krótkie włosy były w tym kraju oznaką hańby, a Leandra straciła swe piękne, długie pukle podczas walki ze zdradzieckim nekromantą daleko stąd, w starej świątyni w lodowych jaskiniach u stóp Gromogór. Włosy spłonęły. Płonęła i ona sama, lecz moc starego boga wilka przywróciła jej zdrowie i sprawiła, że ciężkie rany po oparzeniach zniknęły bez śladu. Tylko włosy jeszcze nie odrosły.

Teraz wyglądały niczym biały hełm, odrośnięte na szerokość palca, lekki, delikatny puszek, który tak lubiłem dotykać. Leandra, w której żyłach płynęła krew elfów, była wysoka i szczupła, a szkolenie na maistrę i wojowniczkę władającą mieczem wyrobiło jej odpowiednią postawę i mięśnie. W przeciwieństwie do niej Faihlyd była raczej niska i drobna, o długich, kruczoczarnych włosach i przenikliwym spojrzeniu ciemnych oczu, roześmianych lub roniących łzy, a mimo to bacznie wszystko obserwujących.

Miała szesnaście lat i najpierw straciła w zamachu brata i matkę, a teraz także i ojca, jej samej zaś również nieustannie groziło, że zostanie zamordowana. Mimo to dla każdego miała ciepły uśmiech, a choć była żywego temperamentu, wyczuwało się w niej zarazem serdeczność i odpowiedzialność, co rzadko spotykało się u osób w jej wieku. Na ulicach Gasalabadu mówiono, że jest nadzieją Besarajnu, a jeśli bogowie pozwolą, to za kilka tygodni powinna zostać nie tylko władczynią największego emiratu, ale i kalifą całego królestwa. O ile pozostałych ośmiu emirów zaaprobuje ten wybór. Stało się to koniecz-



ne, ponieważ stary kalif zmarł bezpotomnie kilka miesięcy temu. Tam, gdzie do wygrania jest korona, niedaleko do intryg, zdrad, kłamstw i mordu. Gdy popatrzyłem na nią, zaśmiała się, a chwilę potem rozległ się dźwięczny śmiech Leandry: dziewczyny doskonale się rozumiały. Obie dźwięgały na swych barkach ogromną odpowiedzialność.

– Cieszę się, że widzę emirę Faihyld w tak dobrym nastroju – powiedziałem cicho do Armina.

Rzucił mi z boku spojrzenie i uśmiechnął się nieznacznie.

– Ma ku temu powody. Dlatego tu dziś jesteśmy.

– Jakież to powody?

Przeciągnąłem się. Kości zaskrzypiały i zatrzeszczały głośno. Mój przeklęty miecz, kolejne Ostrze Spójni z upiornej kuźni Askannona, z każdym życiem, które zabierał, przywracał mi część młodości, mimo to czasami czułem się starszy niż w rzeczywistości, a byłem naprawdę stary.

Westchnął i odwrócił się do mnie.

– Esseri – podjął cichym głosem. – Wiecie, czego najbardziej brakuje koronowanej głowie?

Mogłem sobie wyobrazić, więc tylko skinąłem głową.

– Przyjaźni bez sztyletu w rękawie – ciągnął Armin. – Możliwości życia tak, jak chce tego serce, a nie tak, jak domaga się korona. Również i kwiat waszego serca, essera Leandra, zdąża do określonego celu, również i ona nie działa całkiem bezinteresownie, lecz jej cele i jej dążenia nie stoją w sprzeczności z celami mojej pięknej Lwicy.



Wasza przyjaźń jest dla mnie o wiele cenniejsza, niż możecie sobie wyobrazić, i dla mojego kwiecica również. Już sama ta przyjaźń to dla niej dużo, podobnie i dla mnie. Spokój tego ogrodu, pewność, że jest się wśród przyjaciół i że nikt tu nie ukrywa w rękawie sztyletu, to kolejny dar o nieocenionej wartości. – Armin popatrzył mi głęboko w oczy, a na jego wąskiej twarzy malowała się powaga. – Przyjaźń i miłość to wartości, których nie można kupić, nawet za całe złoto ukryte w skarbcach.

– A więc jednak czegoś od nas chcecie – odparłem, przywołując na twarz uśmiech, by zlagodzić te słowa.

Westchnął.

– Musicie walić tak prosto z mostu? – zapytał z lekką pretensją w głosie. Ale i on się uśmiechnął. Niektóre rzeczy były po prostu takimi, jakimi były.

Lecz jego wcześniejsze słowa brzmiały prawdziwie i miał rację w tym, co mówił. Przyjaźń to cenny dar. Lecz Armin był człowiekiem o wielu twarzach. W porównaniu ze mną był raczej żyłasty, głowę golił, pozostawiając tylko warkoczyk, miał tatuaż i niewielką szpiczastą bródkę, podrygującą śmiesznie, kiedy mówił. Niewysoki mężczyzna z łatwością potrafił doprowadzić kogoś do śmiechu, a jeszcze łatwiej sprawić, że się go nie doceniało. Za tymi ciemnymi oczami skrywał się bystry umysł, który był co najmniej tak samo giętki jak język.

Armin został rytualnie uznany przez swą rodzinę za nieżyjącego, po czym wyruszył samotnie na poszukiwania siostry. Wiedział, kogo ściga: potwora, nekromantę i Łow-



cę Dusz. Kogoś skuszonego przez Bezimiennego i przekłętego przez wszystkich innych bogów, przeciwnika, z którym właściwie nie mógł wygrać. A jednak to Armin pokonał nekromantę Orduna, który skradł duszę jego siostrze i o mały włos przymusiłby do potwornego pocałunku również i mnie.

Armin moim mieczem, Rozpruwaczem Dusz, zmusił Orduna do uwolnienia zrabowanych dusz, a pośród nich duszy jego siostry. Ta w końcu odnalazła drogę do bram Soltara, boga, któremu służyłem wbrew woli i który prowadził dusze zmarłych ku nowemu życiu.

Armin miał w sobie tak wiele osobowości, że chyba nigdy nie zdołałam poznać go do końca. Ale wyczuwałem, że naprawdę jest przyjacielem.

– Co jest, Arminie?

– Chodzi o waszą misję, wasze cele i o nasze dążenia. Chodzi o wrogów i przyjaźń, o zaufanie i zdradę. Wasza przyjaciółka Sieglinde może przerobi to na balladę, na pewno wyszłaby z tego pasjonująca historia. – Westchnął ponownie. – Wiemy, jak nie podoba wam się, że zostaliście wciągnięci w nasze zagmatwane sprawy. Zostajecie, bo prosiliśmy, abyście byli obecni na naszym ślubie, nie raz uratowaliście życie mej Lwicy, ryzykując przy tym własne, a jednak pragniecie tylko jednego: jak najszybciej wypłynąć do Askiru. – Popatrzył na mnie. – Uczyniliście naszych wrogów swoimi wrogami, a waszych być może naszymi. A może to nie ma znaczenia, bo i tak i jedni, i drudzy są naszymi wspólnymi wrogami. Na to w każdym



razie wygląda. Moja Lwica omawia teraz z waszą Gryfką dokładnie to, co chcę wam powiedzieć i ja: konieczne jest zawarcie sojuszu między Gryfem, Jednorożcem i Różą, Lwem i Orłem.

Zamilkł i popatrzył pytająco. Skinąłem ledwie dostrzegalnie głową i posłałem mu uspokajający uśmiech; nie znalazłem w jego słowach nic, co wzbudziłoby mój sprzeciw.

– Gasalabad jest perłą Besarajnu. Żaden inny emirat nie dorównuje mu rozmiarami, pięknnością, bogactwem i władzą. Ale i cieniami. Nawet gdyby Faihlyd miała ponieść fiasko w swych dążeniach i nie została kalifą, to emirat i tak jest potęgą, niepozbawioną wpływów poza granicami królestwa. – Spojrzał na mnie. – W tej chwili moja Lwica przyrzeka waszej ukochanej, że wesprze swymi wpływami oraz potęgą Różę Illianu. Sojusz między naszymi domami i waszym królestwem. Niezależnie od tego, czy zostanie kalifą, czy nie, Faihlyd również uda się w podróż do Askiru i w waszej sprawie zabierze głos na Radzie Koronnej. Esseri, Havaldzie, przyjacielu. Ona zawsze dotrzymuje słowa. Ono ma swoją wagę.

– Nie władam żadnym domem, Arminie. Ale popieram ten sojusz.

– To ją ucieszy. Choć to nie może być prawda, że nie władacie żadnym domem. Maestra mówiła mi co innego. Jesteście grafem, macie w herbie Jednorożca i Różę. Służycie Róży Illianu, waszej królowej Eleonorze, od chwili jej narodzin. Nosicie tytuły, stare tytuły, znane i cenione



również i w naszym królestwie, które, gdybyście chcieli z nich skorzystać, otworzyłyby wam wiele drzwi. Protektor królestwa...

Pokręciłem głową.

– Jeśli ktoś jest paladynem naszej królowej, to Leandra. To ona nosi Kamienne Serce, królewski miecz, i to ona przemawia w imieniu naszej królowej. – Położyłem ręce na cieplej od słońca balustradzie z kunsztownie ociosanego kamienia i spojrzałem na ogród. Leandra popatrzyła w górę, napotkała mój wzrok i uśmiechnęła się. Odwzajemniłem uśmiech, czerpiąc przyjemność z tej krótkiej, znaczącej wymiany spojrzeń. Również i Faihlyd uniosła wzrok, zauważyła nas stojących przy barierce i opromieniła nas obu uśmiechem, Arminowi zaś posłała szczególne spojrzenie. Pomachała, a ja uniosłem rękę w pozdrowieniu.

– Bez Leandry nie byłoby nas tutaj – ciągnąłem cicho. – Podążamy za jej misją. To ona chce niemożliwego: pomocy przeciwko Thalakowi i wolności dla naszych królestw. Być może jest to nawet realne. Nikt nie wie, co przyniesie przyszłość. Ale jeśli się uda, to będzie jej dzieło. – Westchnąłem. – Nie chce przyjąć do wiadomości faktu, że Roderic von Thurgau nie żyje. Zginął w bitwie, otoczony dobrymi żołnierzami i lojalnymi przyjaciółmi. – Zrobiłem bezradny gest ręką. – Nie potrafię powiedzieć tego innymi słowami, wyjaśnić w inny sposób. Graf von Thurgau zmarł na tamtej przełęczy wraz z czterdziestoma wiernymi żołnierzami. Nie mógł przeżyć. To byłaby zdrada wobec tych, którzy polegli wraz z nim.



Armin wpatrywał się we mnie długo.

– Wstydzicie się, że żyjecie, panie? – zapytał w końcu cicho.
Zaśmiałem się z goryczą.

– Jednego nie można ci odmówić, Arminie. Nie jesteś ślepy.

– Nie. Mylicie się – odparł. – Ja też bywam ślepy. Mężczyźni często są ślepi, jak mówi moja Lwica. Ale w tym momencie widzę jasno. Widzę, że można uciec przed wszystkim, ale nie przed sobą samym. Nawet wy nie możecie.

Na to nie było odpowiedzi. Poczekał chwilę. Nie odezwałem się, więc podjął rozmowę:

– Jeśli waszej maestrze uda się zawiązać przymierze przeciwko Thalakowi, to tylko dlatego, że będzie miała wsparcie. To samo dotyczy Lwicy z Gasalabadu i mnie. Potrzebujemy waszej pomocy, tak jak wy potrzebujecie naszej.

– Arminie – rzekłem. – Jesteśmy przyjaciółmi. Przyjaciele sobie pomagają. Jeśli o mnie chodzi, to więcej nie trzeba. A o losach mocarstw i królewskich rodów rozmawiaj z Leandrą. Mnie wystarczy jedynie, że powiesz mi wreszcie, jak mogę pomóc.

– Przede wszystkim trzeba się czegoś dowiedzieć. Mamy pewne przypuszczenia co do waszej osoby. Żeby to sprawdzić, musimy pokazać wam coś, co, jak sądzimy, możecie zobaczyć.

– Dopiero co się obudziłem. – Spojrzałem w niebo i uznałem, że musiało właśnie minąć południe. – To



pierwszy spokojny dzień, odkąd wyruszyliśmy w tę podróż, a ty, przyjacielu, obudziłeś mnie zbyt wcześnie i w dodatku mówisz samymi zagadkami.

Skinął głową.

– Trudno to wyrazić innymi słowami. Panie, pokrzepcie się, a kiedy będziecie gotowi, udajcie się z nami do pałacu. To przede wszystkim essera Falah chce się z wami widzieć. Jej wiara w was, esseri, jest niezachwiana jak skała na wietrze. Mówi, że będziecie widzieć odpowiedzi, co do których my jedynie snujemy przypuszczenia. – Wzruszył bezradnie ramionami. – Jeśli okaże się, że ma rację, będzie to znak i pierwszy krok na drodze, którą powinno się rozważyć.

– Czy da się jeszcze bardziej zawile, Arminie? – zapytałem.

– Essera Falah życzy sobie, abyście udali się wraz z nią do królestwa zmarłych, by zobaczyć Marinae i jej syna, emira.

Zamrugalem. Armin uśmiechnął się zakłopotany.

– Dokładniej nie potrafię wam tego powiedzieć, panie.

– To jest... dość nieoczekiwane – odparłem w końcu. – Myślę, że teraz potrzeba mi śniadania.

Nasz dom był duży i oprócz parteru miał dwa dodatkowe piętra z szesnastoma dużymi komnatami i niezliczonymi małymi. Kilka służyło celom reprezentacyjnym. Odkąd emir kazał wyszykować wnętrza, większości z nich nawet jeszcze nie widziałem. Bez oglądania wiedziałem



jednak, że każde z pomieszczeń było urządzone z przepychem, z mnóstwem złocień, jedwabiu i szlachetnych podłóg, drogocennych mebli i innych kosztownych i pięknych przedmiotów.

Kuchnia wyglądała jednak inaczej. Wielkie pomieszczenie bez żadnych ozdób, całą szerokością otwarte na patio. Stąd również widziałem Leandrę i Faithlyd, które nadal rozmawiały przy fontannie. Podłoga wyłożona była kamiennymi płytami, ściany zaś zbudowano z surowego szarego kamienia. Duże paleniska znałem już z gospody Pod Głowomłotem. Masywne drzwi prowadziły z kuchni na obiegający dziedziniec krużganek, kończący się w wielkim holu wejściowym. Dwoje kolejnych drzwi skrywało chłodne komory przeznaczone na spizarnie. Jeszcze jedno prowadziły do wędzarni z potężnym paleniskiem, a za ostatnimi znajdowały się schody do piwnic, skrywające zupełnie inną tajemnicę.

Kuchnia była ogromna, w dawnych czasach kucharz zapewne zarządzał tu całym regimentem pomocników. Urządzono ją przemyślnie. Wielki stół z dębowego drewna był chyba jedynym meblem, jaki tu zastaliśmy, kiedy kupiliśmy dom. Mebel był po prostu zbyt ciężki, by go ukraść. Kiedy odnawiano wnętrze, oszlifowano go na nowo i wyszorowano, ale pozostawiono wszystkie szczyrby, znaki i słowa wryte w jego blacie przez znużone ręce na przestrzeni lat. Miał charakter i mieściło się przy nim co najmniej dziesięć krzesel. Zapewne służba jadała w kuchni.



Nie mieliśmy służby, za to dysponowaliśmy kosztownie wyposażoną jadalnią pełną wazonów, kwiatów, kunsztownych malowideł na suficie, z ozdobnym stołem z różanego drewna i miękkimi krzesłami. A mimo to odnosiłem wrażenie, że każde z nas wołało te proste kuchenne wnętrza.

Tutaj przynajmniej nie musiałem się obawiać, że krzesło załamie się pod moim ciężarem. Poza tym nie musiałem siedzieć na poduszkach, do czego wciąż nie mogłem się przyzwyczać.

W środku zastałem Sieglinde, która krzątała się z zadowoleniem przy blacie obok kamiennego paleniska. Najwyraźniej sprawiało jej to przyjemność. Była córką Eberhardta, karczmarza z gospody Pod Głowomłotem, gdzie wszystko się zaczęło. Ona również nosiła Ostrze Spójni – Lodowego Pogromcę – miecz owiany legendą w Besarajnie. Była teraz kimś więcej niż córką oberżysty, a i tak lubiła nam dogadzać i dla nas gotować. Wyznała mi, że nie stanowi to dla niej problemu, odnajduje w tym wewnętrzny spokój. To różnica, czy coś musi się robić, czy robi się to dla czystej przyjemności.

Fakt, że Lodowy Pogromca stał na czubku na blacie, o nic nieoparty i niczym nietrzymany, dowodził, że człowiek potrafi przyzwyczać się do wszystkiego. Ten niezwykajny widok zupełnie mnie już nie dziwił.

U szczytu stołu siedzieli Zokora i Varosch, pogrążeni w cichej rozmowie. Oboje mieli na sobie luźne i ciemne szaty obstawy, co w przypadku Zokory wyglądało wyjątkowo groźnie. Zokora była mroczną elfką i pochodziła



z ludu, który w naszej ojczyźnie słynął z okrucieństwa; już sam jej widok sprawiał, że najmężniejsi wojacy mieli ochotę czmychnąć, gdzie pieprz rośnie. Skórę miała czarną jak heban, lecz po jej wdzięcznych ruchach i delikatnych rysach twarzy łatwo dało się poznać elfie pochodzenie. W odróżnieniu od elfów, których krew płynęła w żyłach Leandry, była niska i drobna, może ciut wyższa od Faihlyd, ale jeszcze od niej szczuplejsza. Była kapłanką i paladynką Solante, ciemnej siostry Astarte – jak mroczna elfka nazywała boginię, którą czczono w głębokich podziemnych jaskiniach. Jej czarne włosy były krótkie, też utraciła je w walce z Balthasarem. Varosch tego żałował, bo uwielbiał szczotkować jej włosy i splatać je w warkocze. Varosch był adeptem Borona, odbywającym nakazane tradycją lata wędrówki. Po powrocie do świątyni będzie mógł wybrać, czy wstąpić w szeregi kapłanów i służyć bogu sprawiedliwości w świątyni, czy wieść życie poza jej murami. Boron był jedynym znanym mi bogiem, który pozwalał swym sługom nosić broń i z niej korzystać. Varosch wyjątkowo celnie strzelał z kuszy i swego czasu najął się jako strażnik w kupieckiej karawanie Rigurda.

A teraz był kochankiem Zokory, co... stanowiło więc więcej niż niezwykłą, a jednak pasującą do tej dwójki. Varosch podniósł wzrok i przyjaźnie skinął mi i Arminowi głową na powitanie, Zokora nie zwróciła na nas uwagi. Byliśmy tylko mężczyznami.

Ubrałem się dziś skromnie, ku wielkiej dezaprobacie Armina, który uwielbiał jaskrawe kolory i bywało, że nie-



wiele się różnił od pawia. Założyłem buty z cholewkami, luźne, szerokie lniane szarawary, koszulę i kamizelkę oraz tradycyjny burnus. Na biodrach miałem pas, do którego przypinałem Porywacza Dusz. Miecz trzymałem w ręku i siadając, postawiłem go obok siebie.

W kuchni przyjemnie pachniało, bo Sieglinde porozwieszala już do suszenia różne zioła. Z pieca dochodził aromat świeżego chleba, a z ogrodu woń licznych zasadzonych tam kwiatów. Ludzie w Besarajnie kochali kwiaty, często przed najędzniejszą chatą widać było zwyczajną skrzynkę z ziemią i najpiękniejszymi kwiatami. Większości z nich nie znałem, ale miały jedną wspólną cechę: kwitły niezwykle kolorowo, a ich intensywny zapach na szczęście przykrywał inne wonie miasta.

Było ciepło, lecz nie za ciepło. Pod sufitem od dawna nieżyjący budowniczy umieścił w ścianie kilka otworów wychodzących na hol: dzięki temu chłodne powietrze z wnętrza domu płynęło przez kuchnię na zewnątrz, także wtedy, gdy używano palenisk. Temperatura pozostawała cały czas umiarkowana. To właśnie takie drobiazgi rodem ze Starego Królestwa robiły na mnie wrażenie. Dawały świadectwo wiedzy, która w mojej ojczyźnie zanikła, choć nasi przodkowie sami przecież przybyli stamtąd, by zasiedlić nowe ziemie.

To było sedno misji Leandry: Nowe Królestwa, nasza ojczyzna, były koloniami Starego Królestwa i dlatego mieliśmy prawo do ochrony przez tę potęgę.

Janos, Natalya i Serafine byli nieobecni tego ranka. Serafine. Dalej nie mogłem się przyzwyczaić, że przedtem



tak gładkie i puste oblicze siostry Armina, Helis, odzwierciedlało teraz charakter kobiety, która prawie siedemset lat temu urodziła się w Gasalabadzie jako córka ówczesnego imperialnego gubernatora. Kobiety, o której do dziś krążyły legendy.

Stanowiliśmy osobliwą zbieraninę druhów, którzy przyłączyli się do misji Leandry. Janos był albo agentem królowej, albo rozbójnikiem, swego czasu szerzącym w gospodzie groźę i strach, by odciągnąć uwagę od prawdziwego niebezpieczeństwa. Natalya była wyszkoloną skrytobójczynią wysłaną przez władcę Thalaku. Kiedy o tym myślałem, wciąż czułem lodowate ukłucie sztyletu, który wbiła mi w bok podczas zamachu w świątyni wilka. Tylko interwencja Zokory sprawiła, że Natalya nie posłała mnie do hal Soltara. Wprawdzie powinienem był znaleźć się tam już dawno temu, ale w tamtej chwili, podobnie jak teraz, nie śpieszyło mi się do tego.

Natalya została jeńcem Zokory. Niewiele brakowało, a doświadczyłaby na własnej skórze legendarnego okrucieństwa mrocznych elfów. Otrzymała jednak szansę pomszczenia mordu na Rigurdzie, a całkiem niedawno własnym ciałem zasłoniła mnie przed beltem z kuszy, który o mało mnie nie zabił.

– Gdzie reszta? – zapytałem, zajmwszy miejsce przy stole. Skinąłem z wdzięcznością głową, kiedy Sieglinde postawiła przede mną gorący kubek kafejki.

– Natalya i Janos są na targu, żeby skompletować wyposażenie na powrotną wyprawę do Głowomłota – odpar-



ła Sieglinde. – Serafine jest w piwnicach, mówi, że musi zahartować ciało.

W południe najchłodniej było w piwnicy. Znajdowało się tam duże pomieszczenie, idealne do ćwiczeń, choć światło, które wpadało do środka przez lustrzany świetlik, było nieco skąpe. Jednak nie teraz, kiedy słońce stało wysoko na niebie i dobrze doświetlało przepust.

Podziękowałem Sieglinde i posłałem spojrzenie Arminowi. Dostrzegł je, zrozumiał i skwitował uśmiechem. Upłynęło niewiele czasu, odkąd duch zarządczyni arsenału zagościł w ciele jego siostry, i nadal nie wiedziałem, jak brat się na to zapatrywał.

– To cud, esseri, i nie żywię żadnych złych uczuć wobec tego starego ducha, który zawsze był wam przyjacielem. Helis jest bezpieczna u Soltara, a Córka Wody i Helis są do siebie tak podobne, że niekiedy śmiem zapominać, iż to nie jest Helis. Czasami patrzenie na nią boli, ale na ogół czuję, że to nadal jest moja siostra, którą kocham. I wówczas wolę za bardzo nie dociekać. Móc patrzeć, jak się śmieje lub jest poważna, jak jest mądra mądrością wykraczającą daleko poza jej wiek, a mimo to pod tyłoma względami tak podobna do Helis, to łaska.

Helis i Armin pochodzili z Domu Orła, który został zdradzony, a następnie zakazany po zawirowaniach wokół abdykacji Askannona, podobnie jak i sama Serafine, nazywana Córką Wody. Już wtedy, gdy ujrzałem Helis po raz pierwszy, rzuciło mi się w oczy jej podobieństwo do Serafine, której widmo spotkałem już raz w lodowych jaskiniach.



Sama Serafine mówiła, że nie ma między nimi żadnej znaczącej różnicy: Helis mogłaby być nią, tyle że młodszą o parę dekad. Albo stuleci...

Helis występowała w cyrku jako akrobatka i choć jej uprowadzenie miało miejsce już prawie rok temu, z pewnością była w dobrej formie. Na tę myśl aż się uśmiechnąłem: według miary Serafine w dobrej formie była najwyżej Zokora lub Natalya. Sieglinde i ja prawie co dzień rano ćwiczyliśmy zgodnie z przykazaniami Serafine. Czasami przyłączał się do nas Janos. W każdym razie ćwiczenia chyba przynosiły skutek, bo poruszałem się lżej i płynniej niż w ostatnich latach, a i Sieglinde coraz pewniej poczynala sobie z mieczem. Spojrzałem w jej stronę; pod skórą rysowały się smukłe mięśnie, których dawniej nie było widać.

W moich oczach to ona przeszła największą przemianę z nas wszystkich – z córki karczmarza w wojowniczkę, która nieustraszenie stawiała czoła niebezpieczeństwu i w swej skromności nawet nie zauważała, że stała się kobietą tworzącą własną legendę.

Armin miał rację. Każdy z moich towarzyszy zasługiwał na swoją własną balladę. O mnie napisano już wiele, ale nie lubiłem ich słuchać.

On również trzymał w ręku kubek z parującym napojem. Siedział rozparty wygodnie na krześle. Nigdy nie widziałem go bardziej zadowolonym. Smutek, który ostatnio spowijał Faihlyd, zdawał się mijać, a to miało na niego dobry wpływ.



– Czy essera Falah miałaby coś przeciwko, gdyby Serafine towarzyszyła mi do pałacu? – zapytałem go.

Podniósł zaskoczony wzrok i pokręcił głową.

– Dlaczego?

– Serafine dużo wie, szczególnie o nekromantach – wyjaśniłem. – Widzi sprawy inaczej niż ja czy ty. Jest uważna, może zauważyć coś, co my przeoczymy.

– Myślicie, że jest wystarczająco odważna, by przekroczyć progi tego miejsca? – zapytał cicho.

– Myślę, że była bliżej mego boga niż ktokolwiek inny, kogo znam. Nie będzie się lękać.

Królestwo Soltara, do którego miałem się udać z esserą Falah, babką Faihlyd, było, jeśli dobrze zrozumiałem, królestwem zmarłych, utrzymywanym przez kapłanów w tutejszym Pałacu Księżyca za pomocą modłów i magii. Było się tam bliżej boga i śmierci niż gdziekolwiek indziej na świecie.

Nawet Armin nie mógł lub nie chciał powiedzieć mi więcej, nigdy nie był w tym miejscu, którego się lękano, i słusznie.

– Przyboczny medyk essery, uczony Perin da Halat, wyjaśnił mi to – powiedział Armin, pomagając mi się ubrać. Podał mi jaskrawoczerwoną, haftowaną kamizelkę i okazał rozczarowanie, kiedy zamiast niej wybrałem inną, ze zwykłego jasnego lnu. – Mówi, że jest to miejsce, gdzie żywi otrzymują odpowiedzi od martwych, chociaż nie można rozmawiać z nimi bezpośrednio. Ale sięga po nich śmierć. – Wzdrygnął się lekko. – Esseri, wiecie, jak



bardzo rozpieszcza nas tu słońce, lecz tam jest tak zimno, że możecie widzieć swój oddech. To miejsce istnieje, ale nie mówi się o nim. Mam złe przeczucia. – Dopiero teraz popatrzył na mnie. – Jeśli pozwolicie, to sam zapytam Serafine, czy zechce nam towarzyszyć – dorzucił cicho i trochę niepewnie.

Skinąłem głową na znak aprobaty. Wypił jeszcze łyk kawy, potem wstał, ociągał się chwilę i w końcu zniknął w przejściu do piwnicy.

– To musi być dla niego trudne – odezwał się półgłosem Varosch, przypatrując się, jak drzwi zamykają się za Arminem. – Patrzeć na Serafine...

– Dlaczego? – zapytała swym chropawym głosem Zokora. – To jego siostra. Dobrze robi, że do niej idzie.

– Ciałem to jego siostra, ale duchem Serafine – odparł Varosch. – To różnica.

Zokora uniosła brew.

– Nie widzę żadnej.

Odwróciła się do mnie i sięgnęła pod szatę. Wyjęła spod niej woreczek i wyluskała zeń podłużną pieczęć ze złota na cienkim łańcuszku. Rozpoznałem ją, należała do mrocznej elfki, którą znaleźliśmy zamarznąłą w ciemnych jaskiniach w drodze z gospody do Twierdzy Gromów.

– Kiedy będziemy prowadzić Sieglinde i Janosa przez lodowe jaskinie z powrotem do gospody, ty będziesz miał czas wywiedzieć się, czy ktoś może wie coś o tym klanie. – Popatrzyła na mnie. – Dla tutejszych mój lud jest niezwy-



czajny, ale nie nieznanym. Chcę wiedzieć, gdzie znaleźć moje siostry. Jeśli służyły temu Askannonowi, to wiedzą o ludziach więcej niż ja.

Skinąłem głową.

– Zajmę się tym. I dziękuję ci za zaufanie, jakie okazujesz mi swą prośbą.

Jej brew uniosła się wyżej niż zwykle.

– To nie była prośba – sprostowała. – To coś, co możesz zrobić, nic więcej.

Wymieniliśmy z Varoschem spojrzenia i uśmiechnęliśmy się ledwo dostrzegalnie. Sieglinde zaśmiała się cicho.

Zokora przyjrzała nam się z zainteresowaniem.

– Powiedziałam coś śmiesznego?

– To była prośba – podjął próbę wyjaśnienia Varosch. – Zapytałaś, czy...

– To nie było pytanie – przerwała. – To jest coś, co on może zrobić. Jeśli nie chce, może powiedzieć. – Pokręciła z irytacją głową. – Ludzie są skomplikowani.

– Dlaczego miałby to robić, jeśli to nie jest prośba? – drążył Varosch. Zorientowałem się, że to kontynuacja dłuższej rozmowy między nimi.

– Bo może – odparła jak ktoś, kto cierpliwie wyjaśnia coś dziecku. – A poza tym chce.

– Dlaczego miałby chcieć?

– Jeśli chce, to wiem, że to zrobi. Jeśli nie zrobi, zajmę się tym sama.

– A więc zrobi to po to, żebyś wiedziała, że to zrobi? – zapytał Varosch.



Przewróciła oczami. Popatrzyła na mnie, potem na Varoscha i wreszcie na Sieglinde.

– Wiesz, o co mi chodzi? W końcu jesteś kobietą i potrafisz myśleć.

Sieglinde się uśmiechnęła.

– Nie, ale i ja uważam, że to była prośba, Zokoro.

Elfka skinęła głową i zwróciła się z powrotem do mnie i Varoscha.

– To mnie nuży – stwierdziła, chwyciła za miecz i skierowała się do drzwi. Odprowadziliśmy ją wzrokiem.

– Jest rozdrażniona? – zapytała Sieglinde zaskoczona, ale Varosch pokręcił głową z uśmiechem.

– Nie, nie jest – powiedział i zachichotał. – Bardzo się stara zrozumieć, jak myślimy, ale czasami odnoszę wrażenie, że po prostu traci cierpliwość, że pojmujemy tak wolno. – Uśmiechnął się szeroko. – Nie ma nam tego za złe. Byłaby wręcz zdziwiona, gdybyśmy pojmowali coś szybciej. Nie oczekuje po ludziach jakiejś szczególnej inteligencji, zwłaszcza po mężczyznach. – Uśmiechnął się jeszcze szerzej. – Ale często zdumiewa ją, kiedy to, co robimy, ma sens.

Sieglinde parsknęła śmiechem.

– Zapamiętam sobie tę argumentację – odezwała się Leandra, wchodząc do środka z ogrodu. Wyglądała na rozbawioną, a u jej boku stała Faihlyd. – Może się przydać.

Podeszła bliżej, przytuliła się do mnie i spojrzała szelmowsko.





2 WYROK RÓŻY

Przed pójściem do pałacu chciałem porozmawiać z Leandrą. Była w swojej komnacie.

– Co o tym sądzisz? – zapytałem.

Przyjrzała mi się badawczo.

– Wiem, że pytasz o co innego, ale nie możesz tak iść do pałacu.

Spojrzałem po sobie.

– Co w tym niewłaściwego?

– Nic. Ale nie nadaje się do pałacu.

Westchnąłem.

– Ubranie jest świeże. I czyste. Nowe.

– Nie okazujesz esserze Falah należnego szacunku – oświeciła mnie Leandra. Po jej wzroku poznałem, że mówi poważnie.

– Przebiorę się – westchnąłem. – A więc co o tym sądzisz? Mam przeczucie, że jeśli pójdę z Faihlyd i Arminem, wszystko się zmieni i jeszcze bardziej ugrzęźniemy w sprawach emiratu.

Tym razem to ona westchnęła.

– Tego raczej nie unikniemy. Nie rozumiem tylko, czego właściwie oczekuje od ciebie essera Falah – powiedziała.

Wzruszyłem ramionami.

– Nie mam pojęcia. – Podeszedłem do barierki. – Chyba żądam zbyt wiele, mając nadzieję, akurat teraz, akurat dzisiaj, na odrobinę spokoju. – Odwróciłem się do niej. – Minęło zaledwie parę dni, odkąd emir został zamordowany przez nekromantkę na oczach swych gości i przyjaciół, na oczach swej córki i matki. Wolę nie myśleć, jak to wpłynęło na ludzi w tym mieście i co czuje Faihlyd. Jeśli możemy pomóc jej i jej babce...

– Rozumiem. Tylko...

Popatrzyłem pytająco, ale pokręciła głową.

– Nic. Jest, jak jest. Czuję się przytłoczona tym wszystkim. I nie znajduję właściwych słów, by opisać to, co nam się przydarzyło.

Siedziała przy biurku w gabinecie, który Armin kazał urządzić na nasze polecenie. Miała przed sobą pióro i kałamarz, kilka starannie przyciętych arkuszy pergaminu leżało gotowych do użycia, jeden był zapisany w polowie jej drobnym, starannym pismem. Plan był taki, że Janos i Sieglinde już niebawem udadzą się z powrotem do twierdzy na Przełęczu Gromów przez wrota w piwnicach ambasady, a stamtąd pomaszerują podziemnymi jaskiniami do gospody. Dalej mieli podróżować konno, dotrzeć do Kronburgu w Illianie i przekazać królowej Eleonorze wiadomość, której Leandra nie potrafiła sformułować.



– Nie wiadomo, czy ona jeszcze żyje – ciągnęła cicho Leandra. – Ale musi żyć, musi się trzymać, bo żaden z trójki tych, którzy mogliby odziedziczyć koronę, nie jest godzien tego honoru. – Popatrzyła na mnie z goryczą. – Nikt nie stanie na drodze Thalaku. Jakkolwiek różne są ich żalosne przywary, to łączy ich jedno: otworzą bramy dla Thalaku w nadziei na łaskę. Lepiej być psem psa, niż zginąć z uniesioną głową!

Królowa, od dziecka przykuta do łóżka po ciężkim upadku z wysokości, nie miała własnych spadkobierców. Znałem przelotnie trójkę jej kuzynów. Kiedy widziałem ich ostatnim razem, byli ledwie rozwydrzonymi szczeniakami, ale z tego, co wiedziałem, cała trójka od tamtej pory nabrała jeszcze arogancji i pychy. Jafar, jedno z Trzech Królestw, już upadł, wieść o tym dotarła do mnie za pośrednictwem Leandry podczas naszego pierwszego spotkania w gospodzie Pod Głowomłotem. Kelar, gdzie się urodziłem, został zrównany z ziemią. Letasan, ostatnie z królestw, które się ostało, było moją ojczyzną z wyboru. Żyłem tam w szczęściu długie lata, dobrze je znałem. Bogate dzięki handlowi i kopalniom srebra, miało chyba najlepszych uczonych i rzemieślników ze wszystkich Nowych Królestw. Jeśli ktoś szukał dobrego miecza lub nowej zbroi, szukał ich w Letasanie. Nigdzie nie mieli lepszej stali, ale król oddawał się bardziej sztuce i nauce niż walce. Był to dobry człowiek na czasy pokoju, rozważny i roztropny, niezmiennie dbający o dobro swego ludu. Jednocześnie jednak był najgorszym z możliwych dowódców.



Zanim zdążył podjąć jakąkolwiek decyzję, wróg już wygrywał bitwę.

Opór i duma Trzech Królestw zależały teraz wyłącznie od królowej Eleonory. Bez woli oporu nawet najpotężniejsze mury nie powstrzymają zdeterminowanego wroga. Ile lat mogła mieć teraz Róża Illianu? Trzy tuziny i dziesięć? Cztery tuziny? Wiek, w którym częstokroć umierał niejeden zdrowy.

– W jakim była stanie, kiedy widziałaś ją ostatnim razem? – zapytałem cicho. Pamiętałem dziecinną twarzyczkę o wielkich oczach, z których wзираły wiara i ufność w rzeczy niemożliwe... a także cierpienie i smutek, że trzeba było posłać kogoś na pewną śmierć. Nigdy nie było jej dane być dzieckiem.

– Złym – odparła Leandra, spoglądając na niedokończony dokument. – Ledwie mogła jeść, a te ciągle zupy napawały ją wstrętem. – Podniosła powilgotniałe oczy. – Jak ona może znosić takie życie? Jak może nie pragnąć każdą cząstką ciała, by wreszcie zaznać spokoju, za którym tak tęskni?

– Nie odejdzie, dopóki nie wypełni swego obowiązku – stwierdziłem. Byłem tego pewien. Nie potrafiłem powiedzieć czemu, ale nie widziałem innej możliwości. – Napisz, cokolwiek chcesz. Janos osobiście przekaże jej wiadomość.

– Wierzysz w niego? – zapytała.

Podszedłem do niej i przesunąłem dłonią po jej króciutkich, miękkich włosach.



– Tak, wierzę. – Powziąłem decyzję i przyciągnąłem do siebie krzesło. – Nie wiem, czy wrócę przed ich wyjazdem.

Zerknąłem na bok na Kamienne Serce, które zdawało się mierzyć mnie swymi bezlitosnymi rubinowymi, smoczymi ślepiami. Nie, ten miecz mnie nie lubił.

– Nosisz królewski miecz. Przysięgałaś królowej. Czy ta przysięga została złożona jej, czy królestwu?

– To była dziwna przysięga – odrzekła półgłosem i zapatrzyła się w przestrzeń, jakby chciała coś sobie przypomnieć. – Była ciemna noc, kiedy ktoś zapukał do drzwi mojej komnaty. Ku memu zdumieniu była to najwyższa kapłanka Astarte. Stała pod drzwiami i poprosiła, bym poszła z nią. Miałam na sobie tylko koszulę nocną, ale nie było czasu, żeby założyć coś bardziej odpowiedniego. Tajemnymi przejściami, których nie znałam nawet ja, zaprowadziła mnie do komnat królowej. Drzwi pilnowali strażnicy, ale i oni nie wiedzieli, kto tamtej nocy zebrał się u wezgłowia królowej. A było to dostojne towarzystwo, przy łożu klęczał sługa Soltara i modlił się za nią, prosił swego boga, by dał jej siły do dalszego życia. Obok, spokojnie i cicho, z ponurą miną stał sługa Borona w przesiąkniętej krwią szacie. Przeszył mnie spojrzeniem na wskroś, jakby zaglądał mi głęboko w duszę, a w dłoniach trzymał starą, zakurzoną i umazaną krwią skrzynkę z relikwiami, której nie widziałam nigdy wcześniej. – Poszukała ręką mej dłoni i ścisnęła mocno, tak mocno, że aż bolało. – Tamtej nocy do świętego miejsca Borona wtargnęli



uzbrojeni ludzie i popełnili świętokradztwo, zwracając się przeciwko bogu sprawiedliwości. Przemocą, zostawiając za sobą krwawy szlak, wdarli się do komnaty relikwii. Na drodze stanęli im wszyscy kapłani, uzbrojeni i nie, i wszyscy zostali zabici z wyjątkiem tego jednego. Jego krew była częścią śladu, jaki pozostawili po sobie nienazwani. Znasz statwę Borona w świątyni w Kronburgu?

Przytaknąłem. Nigdy nie przestąpiłem progu tej świątyni, ale statua była widoczna z bramy.

– Boron nie trzyma w ręku maczugi, lecz miecz. Najwyższy sługa Borona wziął ów miecz i stawił czoła napastnikom... A jego rękę poprowadził sam bóg. – Przełknęła ślinę. – Poza nim ataku nie przeżył żaden sługa Borona.

Słudzy Borona jako jedyni kapłani mogli nosić broń, lecz ci, którzy służyli w samej świątyni, nigdy nie byli uzbrojeni.

– A co ze świątynną strażą? – zapytałem cicho.

Pokręciła głową.

– Zamordowani przez skrytobójców, wielu z nich we śnie. Nikt nie myślał, że ktoś się ośmieli tak zuchwale wzniecić gniew Borona.

Nawet jeśli często nie dało się rozpoznać działania bogów, to ja nie wątpiłem w ich istnienie i moc. Nazbyt często czułem na własnych ramionach ciężką rękę Soltara... Przeszedł mnie zimny dreszcz. Boron był bogiem sprawiedliwości, ale nie łaski. Ci mężczyźni, kimkolwiek byli, nawet po śmierci nie unikną wyroku boga. Soltar nie ukryje przed swym bratem ich dusz. Zadrzałem z zimna, choć przecież w komnacie było ciepło.



– Czy Varosch wie?

– Nie chciałam mu o tym mówić. Jestem pewna, że znał niektórych z braci w świątyni.

Pokiwałam głową. Uważałam, że to błąd, ale rozumiałem ją.

– Co było potem?

– Nienazwani nie osiągnęli swego celu, ale go objawili: relikwię, o której zapomnieli nawet kapłani Borona. Miecz, który dawniej spoczywał w dłoni posągu, a potem był przechowywany w najbezpieczniejszym z pomieszczeń świątyni. – Popatrzyła w bok na Kamienne Serce, którego czerwone oczy łyskały czerwienią; nieomal wyczuwałem gniew miecza. Kamienne Serce było inne niż Porywacz Dusz, bardziej wyczuwalne i wyraziste. Wydawało mi się wręcz, że miecz ma własną wolę. Temu, kto go nosił, zapewniał spokój kamiennego serca w chwili wykonywania wyroku, a jednak skrywał w sobie więcej emocji niż jakiegokolwiek inne Ostrze Spójni. Nawet gdybym nie miał Porywacza Dusz, nigdy nie wziąłbym do ręki tego miecza. Prawdę mówiąc, bałem się Kamiennego Serca bardziej niż własnego ostrza.

– To Kamienne Serce leżało w skrzynce, którą kapłan trzymał przy łożu królowej? – zapytałem.

Skinęła głową.

– Myślałem, że to królewski miecz.

– Też tak sądziłam. Lecz miecz, który wisi nad tronem, jest tylko kopią.

Wyciągnęła rękę w stronę miecza i dotknęła rękojeści. Delikatnie, niemal pieszczotliwie przejechała dłonią



po kunsztownie ukształtowanej głowie smoka, a potem popatrzyła na mnie.

– Wiem dlaczego – oświadczyła cicho. – Nie można go przyjąć lekkomyślnie. Jest... bezlitosny, gdy się go przywołuje. Nie zna łaski, tylko prawdę i sprawiedliwość. Nie wybacza błędów i jest pełen gniewu na świat, w którym panuje nieporządek. W zaprowadzeniu ładu na tym świecie widzi swój obowiązek. – Urwała na chwilę. – Nie czuć łaski, myśleć w zimnych kategoriach sprawiedliwości i rozumu... to daje wolność. Wiesz, że racja jest po twojej stronie, a wątpliwości nie mają prawa bytu. Niewiele rzeczy daje taką siłę jak ta świadomość. Kiedy po wszystkim opada to ze mnie, zostaje mi w pamięci, jak to jest nie czuć łaski, jak to jest nosić w piersi serce z kamienia. Moja dusza jest pokryta najgrubszym i najciemniejszym lodem, jest niewrażliwa na jakikolwiek wpływ albo magię... i zna tylko jeden cel, jedno pragnienie, i pod tym względem jesteśmy sobie równi.

Wciągnęła powietrze.

– Tamtej nocy uklęknęłam przed naszą królową, a ona przyjęła ode mnie przysięgę. Ale to były jej słowa, które wypowiadałam. To nie była przysięga paladyna, którą znasz, nie, ta przysięga była szczególna. Przysięgłam na jej życie, na jej honor, na jej wolę i na jej wiarę, że uczynię to, co będzie najlepsze dla królestw.

Popatrzyła na mnie wielkimi oczami.

– Słyszysz? Kazała mi przysiąc na jej honor, ale nie dała żadnych wskazówek. Mnie pozostawiła decyzję, co



uznam za dobre! Jak można żądać takiej przysięgi? Jak mogła to zrobić, akurat ona? Przecież wie, jakie brzemię oznaczają te słowa!

Zamknąłem oczy, przywołując w pamięci inne czasy i małą dziewczynkę siedzącą z podkulonymi nogami pod jabłonią. Przypatrywała się ciekawie, jak ser Roderick naprawia zbroję. Tamtego dnia posłaniec z Melbasu przekazał jej ojcu, królowi, kwieciste przyrzeczenie swego księcia, a wraz z przyrzeczeniem złoto i klejnoty. Nie bez powodu, istniały bowiem przesłanki, by wątpić w wierność owego księcia. Przyrzeczenie było długie i pełne słów, kunsztownie skomponowane i pochlebne, arcydzieło dyplomacji.

– Co takiego przyrzekł książę, ser Rodericku? – zapytała, a ja dobrze pamiętałem brzmienie jej głosu, ciekawość w jej oczach i uśmiech, gdy ugryzła jabłko. To było, zanim spadła z muru. Miała przed sobą całe beztrioskie życie.

– Przyrzekł, że nigdy więcej nie pozwoli się przyłapać – odparłem, może trochę bardziej kąśliwie, niż powinienem. Ser Roderick miał wyrobione zdanie o takich przyrzeczeniach i gdyby to od niego zależało, to policzyłby się z księciem po swojemu. Bezpośrednio i raczej bez słów.

– To nie jest dobre przyrzeczenie – orzekła. – Tak jak sądziłam. Nie ufam ludziom, którzy wypowiadają zbyt dużo słów, chodzi im tylko o to, by zbić innych z tropu. Każdy chce coś skraść... choćby tylko myśli.

Ile miała wtedy lat? Osiem? Byłem gotów oddać za nią życie. W pewien sposób uczyniłem to później. Skina-

łem głową bez słowa. Co miałem powiedzieć? Miała rację. Taka mądrość...

– Co jest dobrym przyrzeczeniem, Rodericku?

– By czynić najlepszą z możliwych rzeczy – odpowiedziałem. – Więcej nie można żądać od nikogo.

– Przysiąc, że uczyni to, co najlepsze dla królestwa? Skinąłem głową.

– To niewiele słów, Rodericku. Tydzień temu przeczytałam waszą przysięgę. Była o wiele dłuższa.

Pamiętam, że wtedy nie mogłem powstrzymać się od śmiechu.

– Wasza wysokość przeczytała przysięgę? Miała może więcej słów, ale sens był ten sam.

– Gdy wy to mówicie, brzmi to całkiem prosto – rzekła i wypluła pestki na rękę. – Proszę, Rodericku, wiem, że lubicie pestki.

Wziąłem je z ukłonem.

– Dziękuję, wasza wysokość. – Pieczołowicie schowałem nasionka do woreczka z innymi.

– Rodericku, powiedzcie mi, czy to naprawdę takie proste?

– Nie, czasem trudne. Ja po prostu tak właśnie myślałem. – Oparłem się impulsowi, by pogłaskać ją po włosach. – Ale jestem prostym człowiekiem.

Nigdy nie zapomnę jej spojrzenia.

– Oszukujecie mnie, Rodericku, czy samego siebie?

– Co z tobą? – zapytała Leandra. – Nagle jesteś tak daleko.



Pokręciłem głową i odwróciłem wzrok.

– Nic. Wspomnienia. Nieważne.

Wstałem i wyszedłem na balkon, czując na sobie jej pełen powątpiewania wzrok. Błękitne niebo wydało mi się ironią losu, a zapach róż z ogrodu był niemal nie do zniesienia.

– Zrobiła to chyba, bo nie miała innego wyboru – odpowiedziałem na jej poprzednie pytanie. – Zwykle tak jest. Człowiek nie ma wyboru. – Odwróciłem się do Leandry i zmusiłem, by spojrzeć jej w oczy. Była w nich dziwna miękkość. – Co było dalej?

– Pewnie się domyślasz – ciągnęła cicho. – Kapłani dali mi błogosławieństwo i namaścili, a potem sługa Borona otworzył skrzynkę z relikwią. W środku leżało Kamienne Serce. Wyjęłam je z pochwy, zbudziłam miecz ze snu i dałam mu swojej krwi... i krwi królowej.

– Jak...?

Długo na mnie patrzyła, zanim odpowiedziała.

– Wydawało się to właściwe. Trzymałyśmy miecz wespół, z krwią nas obu na ostrzu, kiedy wydawała wyrok na Thalak.

– Ona... wy... wydałyście wyrok na Thalak z Kamiennym Sercem w ręku? – powtórzyłem, czując, jak coś we mnie pęka.

Widziała, że zrozumiałem, a jej głos zmiękł jeszcze bardziej.

– Havaldzie... – Pokręciła głową. – Nic... – Wzięła głęboki wdech. – Potem dała mi pierścień i wysłała na



poszukiwania ser Rodericka. Wyruszyłam jeszcze tamtej nocy. Masz rację, Havaldzie. Nie zaznam spokoju, nie zaznam nawet chwili odpoczynku, dopóki Kamienne Serce nie wymierzy Thalakowi sprawiedliwości, na jaką zasługuje.

Spuściłem wzrok na ostrze w jej ręku, rubinowe ślepia śmiały się szyderczo. Czym była miłość wobec przysięgi złożonej przez serce z kamienia?

Usiadłem i oparłem ciężko głowę na obu dłoniach. Przypomniałem sobie mapę z gospody, którą z taką pieczołowitością odrysowała Leandra. Ujrzałem oczyma wyobraźni tę niewielką wyspę, słowo *Thalak* obok niej, zobaczyłem te liczne królestwa, które leżały między nami a tą niewielką płamą, teraz wszystkie podbite, wszystkie służące mrocznemu władcy. Niektóre z nich zapewne też się broniły, wierzyły i miały nadzieję, że dadzą odpór żelaznej pięści Thalaku...

Nie doceniłem Leandry, i to bardzo. Początkowo myślałem jeszcze, że uwolnienie królestw od zagrożenia Thalaku jest przedsięwzięciem niemożliwym, wątpiłem, że w ogóle zdołamy obronić się przed jego potęgą, że zdołamy stawić mu opór, teraz jednak cel Leandry wydał mi się o wiele straszliwszy. Ona nie szukała tylko oporu wobec wroga, lecz całkowitego zniszczenia jego mocarstwa. Chciała widzieć na kolanach samego imperatora, kiedy będzie odbywać nad nim sąd.

Może z piersi wyrwał mi się jęk, nie byłem tego pewien.



Leandra podeszła do mnie, położyła mi łagodnie rękę na karku, drugą trzymała przekłętą miecz.

– Mam czas, Havaldzie – rzekła cicho. – Całe wieki, jeśli będzie trzeba. Ale wykonam wyrok. Wierzę w to, a ty sam powiedziałeś, że z wiarą nie ma rzeczy niemożliwych. Nawet jeśli królestwa upadną, imperium Thalaku spotka sprawiedliwość Róży Illianu.

Nachyliła się ku mnie i złożyła pocałunek na mej dłoni.

– Wierz we mnie, Havaldzie. Bo ja również podążam za swym sercem.

Podniosłem wzrok i zatonałem w tych fioletowych oczach, które rzadko widywałem takie łagodne i zdeterminowane zarazem.

– Wiem o tym, Leo, wiem. – Wstałem i przytrzymałem ją tak mocno, jak tylko mogłem, wdychałem jej zapach. – Wiem, że podążasz za swym sercem.

Za sercem z kamienia, wykutym dawno temu w przekłętej stali.

– Napisz, co zechcesz, Leandro, powiedz jej o wszystkim, co dla ciebie ważne. Nie obawiaj się, że twoje słowa trafią do niewłaściwych uszu – powiedziałem półgłosem, trzymając ją mocno w ramionach. – Jeśli Janos nie zastanie Róży wśród żywych, to ma zniszczyć wiadomość. Jeśli spadkobierca zdradził królestwo, Janos powinien wrócić. Bardziej nam się przyda, niż gdyby miał robić to, co zwykle robił.

– Cóż takiego zwykle robił? – zapytała. Czulem na piersi jej oddech.



– To, czego się nauczył. Być partyzantem i cierniem w boku wroga. Nocne ataki, niszczenie prowiantu, zatrucie studni...

Widziałem go przed sobą, jak z uczernioną sadzą twarzą skrada się przez noc, morderczy cień, z Sieglinde u boku, która podążałaby za nim, aż wydarzyłoby się to, co nieuniknione.

– To będą robić inni – ciągnąłem. – Nie będzie im do tego potrzebny. Powierz mu misję do Coldenstatt. Cokolwiek się wydarzy, trochę potrwa, zanim oddziały Thalak dotrą na północ. Nawet jeśli korona została zdradzona, Thalak będzie potrzebował czasu, zanim jego armie przymuszą kraje do przyjęcia jego pokoju. Niech Janos odnajdzie w Coldenstatt kowala Ragnara i zwróci mu jego topór. To jego własność i jego dziedzictwo. A jeśli Janos zdoła, to niech znajdzie ludzi, wiernych ludzi, którzy w imieniu królestwa obejmą twierdzę na przełęczy. Potem niech spróbuje dołączyć do nas, może do tego czasu uda nam się znaleźć kolejne wrota. – Zawahałem się chwilę. – Niech wskaże Ragnarowi, a może i jego rodzinie, drogę tutaj, przez wrota. Ragnarowi można ufać, to dobry człowiek. Polubisz go.

– Wychodzisz z założenia, że twój przyjaciel Ragnar porzuci gospodarstwo, dom i kuźnię, a może i rodzinę oraz szczęście, i przyłączy się do nas?

– Zrobi to. Taki już jest. Jeśli dostanie swój topór, będzie musiał tak postąpić. – Przytuliłem Leandrę mocniej. – Ale może nie będzie musiał porzucać rodziny. Col-



denstatt jest najmłodszym i najmniejszym z naszych miast, ale ziemie na północy są wolne, jedynym zagrożeniem jest tam mróz. Jeśli twierdza zostanie obsadzona i zamknięta, Thalak nie zdoła pokonać przełęczy, a tak długo, jak długo będzie trwała twierdza, Coldenstatt będzie wolnym miejscem dla wszystkich, którzy nie zechcą się ugiąć pod batogiem Thalaku.

– A gospoda? Leży u bram Twierdzy Gromów. Prowadzi od niej droga do świątyni wilka! Jak nie dopuścić, by Thalak wykorzystał moc świątyni dla swoich celów?

Popatrzyłem na nią.

– My? Nie możemy temu zapobiec. Ale może ktoś inny. – Oderwałem się od niej niechętnie. – Napisz, co chcesz powiedzieć i co doda jej sił.

Na małym stoliku stała misa z owocami, wśród nich było jabłko. Wziąłem je, podzieliłem na dwoje i czubkiem noża wydłubałem pestkę.

– Kiedy będziesz pieczętowała wiadomość, wciśnij w воск to nasionko.

Popatrzyła na ziarno na mojej dłoni, a potem na mnie.

Pocałowałem ją.

– To długa historia. Opowiem ci ją innym razem.

Zamknąłem po cichu drzwi i oparłem się o nie ciężko. Łatwo było mówić o nadziei i wierze. Rzadko tak bardzo żałowałem swych słów, ale do tej pory nie wiedziałem, jak niemożliwego zadania podjęła się Leandra. Miłość, nauczały kapłanki Astarte, jest największą potęgą na ziemi. Ale wobec serca z kamienia jest zgubiona.



Jak na mój gust tutejsze szaty były zbyt powiewne i zbyt kolorowe, w mojej ojczyźnie nie znano tak intensywnych barw. Obawiałem się, że będą w nich wyglądał jak krzykliwy paw, wybrałem więc ciemne i przytłumione kolory.

Ostatnim razem to Leandra pomogła mi wybrać ubranie dla „saika Havalda”, Armin również miał w tym swój udział, choć nie do końca mu ufałem w tej kwestii. Jeśli chodzi o niego samego, to wydawał się jak najbardziej gotów, by konkurować z pawiem.

Kiedy jakiś czas temu dołączyła do nas reszta drużyny, okazało się, że potrzebujemy krawca. Parę słów na ucho i obiecał dostarczyć, czego sobie życzyłem. W końcu nadszedł duży, starannie obwiązany sznurkiem pakunek. Nie miałem okazji go rozpakować, ale ktoś zrobił to i starannie powiesił ubrania w dużej szafie. Otworzyłem ją i pokręciłem głową. Żyłem na tym świecie naprawdę długo, ale takiego wyboru ubrań nigdy nie miałem.

Znalazłem to, czego szukałem: ciemne, luźne spodnie z drobno tkanego lnianego płótna, ciemną koszulę o szerokich rękawach z tego samego płótna, bardziej mi znajomego i miłszego niż jedwab, nowe, miękkie buty z cholewkami, które, jak mi przyrzeczono, od razu pasowały jak ulał, miękką, ale ciężką skórzaną kamizelę zszytą z trzech warstw, z których środkowa wykonana była z zachodzących na siebie żelaznych płytek – wprawdzie nie dawała takiej ochrony jak kolczuga, ale lepsze to niż nic. Na nią założyłem ciemny kaftan bez herbu. Miałem



wprawdzie prawo nosić herb, Różę i Jednorożca, lecz budziłby zbyt wiele wspomnień. Zdecydowałem się ponadto na nowy szeroki pas, do którego można przypiąć broń, na zarękawia z miękkiej, ale tak jak kamizela wzmocnionej metalowymi płytkami skóry, do tego śnieżnobiały burnus, który przypomniał mi, aby zapytać Armina, jak możliwe jest osiągnięcie takiej bieli. Zanim przybyłem do Besaraju, najjaśniejszym kolorem, jaki znałem, był jasnoszary. Stroju dopełniało podszyte nakrycie głowy z tego samego płótna, co koszula i spodnie, z miękko opadającą osłoną na kark i twarz, noszoną tu i przez mężczyzn. I tak stałem się saikiem Havaldem, księciem z obcych krain...

Niewielkie ręczne lustro z polerowanego srebra nie wystarczyło, żeby obejrzeć się w całej okazałości, za to przyjrzałem się swojej twarzy, która ostatnimi czasy wydawała mi się dziwnie obca.

Porywacz Dusz zwrócił mi młodość, lecz wiek pozostawił swoje ślady, moje oblicze było węższe i bardziej harde niż dawniej, głębokie bruzdy podkreślały zbyt duży nos, przy którym dziób orła wydawał się twarzowy, a kanciasto przycięta broda, będąca tu w modzie i bez której łatwo zostać wziętym za eunucha, była kruczoczarna, choć tu i ówdzie lekko poprzetykana siwizną, oczy inne, niż pamiętałem, o ciężkich powiekach i ciemnych źrenicach. Próbowałem spojrzeć na siebie oczami innych, ale tylko domyślałem się, co widzieli.

Wyglądałem na hardego. Dużo bardziej, niż się czułem. Wzruszyłem ramionami. Bogowie dawali ci twarz



i trzeba ci z nią żyć. Pomimo wszechobecnych słodkich pierników, aż nazbyt smacznych, schudłem. Wziąłem do ręki mieszek, włożyłem do środka parę srebrnych monet, przewiesiłem go przez szyję i schowałem pod burnusem. Drugi, z paroma miedziakami w środku, przytroczyłem do pasa, chwyciłem Porywacza Dusz i zszedłem na dół do kuchni.

– Dwornie wyglądacie – stwierdziła Faihlyd z uśmiechem, po czym zasłoniła kwefem twarz i wsiadła do lektyki. Powiodłem za nią wzrokiem, kręcąc głową. Za nią do lektyki wsiadła Serafine. Miała na sobie typowy ciemny strój przybocznej straży. Zauważyłem, że zanim zaciągnęła zasłonkę, uśmiechnęła się szelmowsko za swym kwefem.

Armin pociągnął mnie za rękaw. Razem usadowiliśmy się wygodnie w drugiej lektyce.

– Co was tak bawi, panie? – zapytał z ciekawością.

– Nie jestem już twoim panem – pouczyłem go po raz kolejny nieobecny tonem, kiedy lektyka się uniosła i tragarze ruszyli. – Zastanawiam się, o czym rozmawiają ze sobą kobiety.

– O, esseri, gdyby dzień miał sto godzin, a męzczyzna dość czasu na zbyciu, potrzebowałby roku, by pojąć sens spojrzenia, jakie kobieta wymienia z inną kobietą. – Pokręcił głową. – Kiedy ja odsuwam zasłonę i spoglądam na świat, to jest to inny świat niż ten, który widzi kobieta. – Wzruszył ramionami. – Bogowie tak to już urządzili i zapewne mieli ku temu powody.



Pewnie miał rację. Oparłem się plecami o poduszki.

– Nie mogę się przyzwyczać do korzystania z lektyki – zauważyłem. – To się nie godzi, żeby być noszonym przez innych.

– To jedna z niewielu szans dla niewolników na wykupienie sobie wolności – wyjaśnił Armin. – Są dumni, że ich panowie pozwalają im wykonywać tę pracę. Esseri, przypatrzcie się im dokładniej, kiedy następnym razem zobaczycie tragarzy. Chodzą zawsze z nagim torsem, głowę noszą wysoko, są uzbrojeni w pałki i dumni. Są niewolnikami, ale każdy krok przybliży ich do wolności. Wiedzą o tym i wiedzą o tym wszyscy inni. Będą bronić niesionego aż do śmierci, to również wie każde dziecko. Są mężczyznami, bo wolno im nosić broń, nawet jeśli tą bronią są tylko pałki. – Uśmiechnął się. – Poza tym lubią, jak kobiety zerkają na ich mięśnie... – Zaśmiał się cicho. – To właśnie jedna z tych rzeczy, które mam na myśli. Kiedy kobieta patrzy na mężczyznę, powinniśmy być radzi, że one widzą świat inaczej niż my.

Poza tym lektyka, jak objaśnił mi Armin, była bardzo dyskretnym sposobem przemieszczania się ulicami Gasalabadu.

– Lektyki są wszechobecne – powiedział z uśmiechem, od którego drżała mu bródka. – Widać lektykę, ale nie widać, kto w niej siedzi. I każdy wie, że tragarze uzbrojeni są w pałki, aby w zarodku dławić cudzą ciekawość. To tak, jakby się było niewidzialnym. Z kolei jeśli chce się zostać zauważonym, wystarczy odsunąć zasłonkę.

Do głowy przyszło mi pytanie, czy rozpoznałbym straż przyboczną Faihlyd. Emira często poruszała się swobodnie ulicami miasta, czasem w przebraniu, lecz jej obстановка z pewnością do mistrzostwa opanowała sztukę zlewania się z otoczeniem. Kiedy myślałem o Gasalabadzie, miałem przed oczami te nieprzebrane ludzkie masy, które przelewały się przez wąskie albo szerokie ulice w wiecznym słońcu, przechodniów zmierzających ku własnym celom. Jak tylu ludzi mogło mieszkać w jednym miejscu?

Pałac Księżycy znajdował się niedaleko placu Zboża. Ponieważ ludzie schodzili z drogi lektykom, łatwiej było się nam przedrzeć przez tłum, niż gdybyśmy szli pieszo. Już wkrótce usłyszałem głos żołnierza gwardii pałacowej. Faihlyd odpowiedziała coś półgłosem, po czym uzbrojona ręka odchyliła zasłonę jej lektyki, gwardzista z ukłonem zajrzał do środka i zaraz zasłonił wnętrze.

– Znają każdego, kto wchodzi? – zapytałem Armina.

– Może nie każdego – odparł. – Ale wszyscy, którzy stoją przy bramie, mają dobrą pamięć. Ten żołnierz będzie potrafił was opisać co do detalu. Kiedy spodziewani są ważni goście, przy bramach składa się teczki z rysunkami twarzy, które wszyscy gwardziści studiują dokładnie przed rozpoczęciem służby. – Armin popatrzył na mnie z powagą. – Służba przy bramie pałacowej to wielki honor, błędy są niedopuszczalne. Żołnierz sprawdzi, czy w księgach jest wasza podobizna. Jeśli jej nie znajdzie, dokładnie opíše was rysownikowi. Ów wachmistrz wie jeszcze więcej: przybyliście w towarzystwie emiry i bez oficjalnej za-



powiedzi, a zatem jesteście osobą, która cieszy się dużym zaufaniem mojej Lwicy.

– A ciebie zna jako kogo, Arminie? – zapytałem z uśmiechem.

Westchnął teatralnie.

– Wydaje mi się, że strażnicy dworują sobie ze mnie, ignorując mą osobę.

Wiedziałem, że Armin uwielbia się przebierać. Popatrzyłem na niego zaskoczony, ale potrząsnął przecząco głową.

– Nie żartuję. Strażnik rozpozna we mnie waszego sługę, panie. Rzadko bywam w pałacu, nadal nie wszystko jest bezpieczne, a gdyby wiedziano o mnie zbyt wiele, mogłoby to się okazać ryzykowne. Jeśli się spotykamy, to często poza obrębem tych bezpiecznych murów. Dlatego jej ojciec nie był rad z naszego związku. – Spojrzał prosto na mnie. – To essera Falah przekonała go do nas. – Odwrócił wzrok. – Nie wyobrażacie sobie, jak bardzo ją za to szanuję, to ona była kowalem naszego szczęścia. – Zawiesił z namysłem głos. – Moja Lwica ciężko przeżyła śmierć ojca. Gdyby coś przydarzyło się esserze, nie zniosłaby tego. Niech bogowie wiecznie czuwają nad życiem essery i pozwolą, by jej światło długo jeszcze świeciło na tym świecie. – Pochylił się i dotknął mej ręki. Rzadko pozwalał sobie na taką poufałość. – Moja Faihlyd bardzo obawia się tej wyprawy essery Falah do królestwa Soltara, panie. Będziecie nad nią czuwać? Soltar nie potrzebuje jej tak bardzo, jak my potrzebujemy jej i jej mądrości. Moglibyście powiedzieć mu to, gdybyście go spotkali?



– To nie jest królestwo śmierci, Arminie – odparłem uspokajająco. – Sam mi to mówiłeś.

– Nie można zbliżyć się doń bardziej bez przechodzenia przez jego bramy. A gdzie mały kroczek...

Lektyka zatrzymała się i odsunięto zasłonę. Przed nami stał Hahmed, strażnik protokołu, i przyglądał mi się ze zwykłą dezaprobatą. Mimo to odniosłem wrażenie, że nie aż tak wielką jak ostatnio. Wysiedliśmy z lektyki i dołączyliśmy do Faihlyd, która przyglądała nam się z powagą.

– Musimy iść – oznajmiła cicho, nie unosząc kwefu. – Hahmed zaprowadzi was bezpiecznie do mojej babki i będzie na was czekał, kiedy skończycie. – Dojrzałem cień uśmiechu za tkaniną woalu. – Ja w każdym razie dziękuję wam za starania. Niech tarcza i mądrość bogów będą z wami – dorzuciła formalnie i zamarkowała lekki ukłon. Przeniosła spojrzenie na Serafine, która chyba również się uśmiechała. To Serafine umożliwiła Faihlyd stawienie oporu nekromantce w ciele Marinae. Cokolwiek było przedmiotem rozmowy obu kobiet, zbliżyła je ona do siebie. Lektyka uniosła się i Faihlyd opuściła zasłonę.

